



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Zbiór legend i podań dawnych

przez M...a.

Junosza.

(Baran biały w polu czerwonym, na zielonej trawie, stoi we krwi po hoki.)



Jesiennie słońce czerwonym rumieńcem malowało liście dębowe i złotem i purpurą oblewało wśród innych i piękną, choć wyniszczoną trochę ziemię dobrzyńską, a w jednym z jej najcichszych zakątków, pod lasem na wzgórku, złożyło i maleńki domek, otoczony garścią gruszy i jabłoni, ocieniony rozłożystą lipą, strzeżony przez opiekuna bociana, stojącego i w tej chwili wysoko na swoim gnieździe nad domkiem, ani myśląc

o dalekim jeszcze odlocie. Owszem, bocian klekotał sobie w najlepsze, ptaszęta przeróżne odpowiadały mu i z lasu, i z sadu, ćwierkając, choć czas wiosennych ich pieśni już minął, bydlę na pastwisku i przy pracy mieszało także odgłosy swoje do ptasięj gawędy, i konie głośnie rżeniem chciały też wtrącić w nią swoje trzy grosze, a nawet żabki z pobliskiego stawku dorzucały co chwila zdanie swoje do ogólnego chóru, jakim zazwyczaj brzmi wiejski jesienny pod lasem poranek.

Był to zresztą nie zbyt wczesny ranek; słońce dobiegało zenitu, robocze gromadki, pracujące tu i owdzie na polach, pracowały już oddawna i zawzięcie, tylko na około dworku pod lasem, do którego widocznie należeli owi pracownicy, panowała cisza głucha i senna. Dworek ten była to widocznie stara kmiecia chata, do której dodawszy ganek na słupkach i murowany komin wysoki nad strzechą i pobielwszy, a polepiwszy ściany na śnieżną białość, przerobiono chałupinę na dworek, maleńki wprawdzie, ale zaopatrzony we wszystkie zwykłe cechy szlacheckiej prawdziwej zagrody. Wszelki brak ruchu na około tej siedziby i maleńka okienica przymknięta nadawały dworkowi wyraźnie śpiącą postać.

Długo tak spał domeczek w zieleni, aż gdy zbliżyła się chwila południowego wytchnienia, postać niewieścia, pilnująca dotąd pracowników w polu, skierowała się od nich ku dworkowi i weszła na podwórko, a potem, zwalniając kroku i zczyszczając stąpanie, wstąpiła do sieni i ostrożnie położyła rękę na klamce, starając się bez szelestu drzwi komnaty

otworzyć. Białogłowa, wchodząca z takimi ostrożnościami do domu swego, była to pani Anna Lochocka, zacnego rodu i dzielnej postaci, która nie była zwodniczą wcale, gdyż jako wdowa od lat wielu, gospodarowała ta pani na maleńkiej fortunce tak doskonale, zabiegliwie, mądrze i oszczędnie, jakby nie wielu mężczyzn potrafiło na jej miejscu to czynić i nawet zdołała uciulać cokolwiek grosza, co było nieledwie cudownem. Ale czegoż nie dokáže silna wola kobiety, gdy rzecz idzie o takie ukochane, jedyne dziecko, jak Juraś uwielbiony jedynaczek, oczko w głowce pani Lochockiej, dla którego przyszłości matka nie na takie gotową była poświęcenia i pracę, i chwyciłaby się daleko cięższych, gdyby tylko wiedziała, co czynić więcej nad to co czyniła, aby jednako- wi grosza przysporzyć. To też każdy, znający tę silną i rozumną panią, musiałby zdziwić się nie żartem, gdyby w tej chwili wszedłszy wraz z nią do przyciemnionej izby, spojrzął na owego jedynaczka; albowiem śpiący tam pieszczoszek był to chłopak sążnisty, młody wprawdzie, ale blisko ośmnasto- letni w każdym razie, a zatem prawie już dorosły, a cera jego i kształty dowodziły, że był zdrow i doskonale zbudowany.

Jakim dziwnym sposobem rozsądna ze wszech innych względów pani Lochocka mogła poddawać się takiej nieo- graniczonej słabości względem jedynaka, pieszcząc go, jakby jaką chorowitą panienkę?... było to pytanie, na które długo i naopróżno szukało odpowiedzi całe sąsiedztwo. Dziwiono się, zdumiewano, śmiano, aż nareszcie dano za wygraną i przywykłszy do niepojętego dziwu, już tylko ramionami wruszano nad matczynem zaślepieniem i słabością. Nikt z obcych nie chciał wiedzieć o tem, co wycierpiała pani Lo- chocka, gdy jedno po drugim traciła pięcioro dzieci, nie z żadnego wypadku, ani na wojnie, ale ot tak sobie, z zazię- bienia, z jakiejś niemocy, którą przypisywano, to zamoczeniu nóg, to podźwignieniu czegoś ciężkiego, to jakimś młodo- cianemu zmartwieniu nareszcie. Jakże więc biedna matka nie miała chronić ostatnie pozostałe jej dziecko od zaziębie- nia, od zamoczenia, od pracy, i od wszelkiej przykrości? Ani się spostrzegła biedaczka, że tak go chroniąc, rozpieściła chłopaka do ostateczności i nieledwie uczyniła go niedołą- żnym; bo Juraś sam już teraz pieścił się, przywykłszy do pieszczot, co przy dużej i pokaźnej jego postaci narażało go na żarty sąsiadów, i czyniło nieledwie pośmiewiskiem lud- kiem. Ostatnia ta okoliczność, to jest żarty sąsiedzkie, nie- miłe były przecież Jurasowi i odrzucały go od ludzi obcych, przez co, siedząc jedynie w swój zagrodzie, rozleniwiał i znie- doleżał tak fizycznie jak i umysłowo do reszty.

Matka widziała to wszystko już teraz dobrze, i rada- by była odrobić, co zrobiła i mieć Jurasia dzielnym do tańca i do różańca młodzianem, choćby i swawolnym zawadyką nawet, jak inni synowie sąsiedzcy, ale nie dawało się odrobić to, co się przez długie lata robiło; tembardziej, że płacząc nad pieszczochem i łając go nawet, pani Lochocka nie mogła jednak odzwyczaić się od pieszczczenia go zawsze. I teraz oto wchodziła najniepotrzebniej z wielkimi ostrożnościami do izby, jakby tam kto chory o południu spoczywał, gdy tym- czasem to tylko zdrow i tegi chłopak chrapał potężnie, wy- ciągnięty swobodnie na łożku. Dopiero stanawszy nad nim i wpatrzywszy się w tę twarz ukochaną, matka przypomniła sobie, że źle robi chroniąc Jurka od światła i blasku. Poszła zatem do okna i uchyliwszy je, odsunęła okiennicę, a potem przystąpiła znowu do syna, mówiąc półgłosem i zwolna:

— Jurciu!... Jurciu!... moje dziecko, wstań no ty już, wstań!

— Albo co się stało? — sennym głosem zapytał chło- pak, roztwierając jedno oko.

— Nie stało się nic, synku... tylko widzisz..

— To czegoż matusia budzi i zdrzemnąć się nie daje?... myślałem, że się dom pali, albo co podobnego... — mruknął, przerywając matce, duży pieszczoch i przewrócił się na drugi bok, przymykając oko napowrót.

— Ale bo widzisz, to już południe i obiad wystygnie..

— Jurcio roztworzył oba oczy, wstchnął ciężko i rzekł płą- czliwym głosem:

— Ja już dawno chciałem wstać, ale ledwo z pod kili- mka wylazłem, porwały mię takie straszne dreszcze...

— Dreszcze! — krzyknęła matka, której jedno z do- rastających dzieci umarło z ciężkiej choroby, objawionej najprzód dreszczami — Nie wstawaj, synku mój, czekaj, za- raz nakryję cię pierzyną, przyniosę gorący posiłek, a jak zjesz, staraj się zasnąć koniecznie, to może ci snem przejdzie, jeżeli ma być co niedobrego...

I przestraszona kobieta otuliła wielką pierzyną chłopaka, drżącego także, nie z choroby wprawdzie, ale ze strachu przed nią, bo trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że ani my- ślał udawać, tylko tak się bał o siebie, obawami matki prze- jęty, że naprawdę dopatrywał w sobie symptomatów różnych chorób, na jakie pomarło jego rodzeństwo, o czem od matki słyszał. I teraz święta prawda była, że chcąc wstać i wy- lazłszy z pod ciepłego nakrycia, poczuł lekki chłód, panujący w zacienionej izbie; zaraz pomyślał, że to chorobliwe dre- szcze i wrócił do łóżka co prędzej, a potem zatopiony w olbrzymiej pierzynie, wołał płaczliwie za matką, biegnącą do czeladniej izby na przeciwną stronę małego domku:

— Matusiu, oj... mnie coś i na wewnątrz jest źle... ekli mi pod sercem, strasznie mi ekli...

I znowu prawdę mówił Jurcio, bo od rannego śniada- nia, na które zjadł misę wrzącego piwa ze śmietaną i wiej- skim chlebem, upłynęło już pół dnia i zdrowy młody żołądek kurczył się, żądając gwałtem nowego jadła, co zbyt troskliwy o siebie pieszczoch brał za chorobliwą jakąś *ekliwość*. Prze- rażone matczyńskie rzuciło się tedy coprędzej do komina w czeladniej izbie przyrządzać polewkę z wina z żółtkami i jaja na miękko, które jak są dzisiaj u wieśniaków, tak i da- wniej były uważane za najdelikatniejszy dla chorego posiłek i prawie za lekarstwo. Pani Lochocka przyrządzała je tem żwawiej, że nieraz już środki te Jurasowi pomogły w podob- nych przypadłościach. Śpiesząc się tak, że aż jej z rąk wszystko wypadało, mniej zważała na szmer stąpań końskich przed domem, przyciszony miękkim piasku pokładem, aż dopiero bieżąc z kwartowym kubkiem wrzącego wina i mę- dlem gorących jaj w misie, spotkała się w sieni z wchodzą- cymi gośćmi krewnymi i zawołała radośnie i frasobliwie za- razem:

— Gość w dom! Pan stryj raczył stąpić do ubogiej chaty mojej! I pan brat Erazm! Czołem, panie sędzio do- brodzieju! Czołem, panie stolniku! A mój Juraś znowu mi chory! proszę do komnaty, jeżeli łaska, panowie krewniacy! Ókli go pod sercem i dreszcze ma!... Oj, ja nieszczęśliwa!..

— Oj, dla Boga, taki chory krewniaczek! A ja takem właśnie pragnął go poznać!... — ozwał się basowy jakiś, nie- znany pani Lochockiej głos tuż poza nią, gdy poprzedzając

gości wpadła do izby. — A dla kogoż tam niesiesz tę wonną polewkę, pani siostrze, kiedy syn taki chory? boć o ile wiem męża nie masz?

— A no, na posiłek choremu!... A jakże? — odparła jakby zdziwiona, odwracając się ku temu nieznanemu, kto do niej mówił. Był to mąż nie duży wcale, ale wielce składej budowy, i w całkowitej zbroi, i przy ostrogach, tak jakby na koniu siedział, co troszkę dziwnem było, bo tak znów na codzień nie każdy chodził.

— Pan Wojciech, rzeczony Szala, brat stryjeczny, cześnik ziemi dobrzyńskiej!... — zaprezentował go pan stolnik.

— Ach!... a więc także krewniak! — radośnie witając go zauważyła pani i stawiała posiłek na stole koło łóżka, w którym zakopany duży Juraś jednym zaledwie okiem z pod pierzyny wyglądał zdziwiony.

— O!... ale cóż to ten krewniaczek chory czerwono mi jakoś strasznie wygląda... nie ma on wypadkiem gorączki złej?... bo w takim razie rozpalający trunek dobiłby go niechybnie... ja bo to znam się na tem... — rzecze pan Szala, nachyliwszy się i przypatrując się czerstwej i zawsze rumianej, a teraz tembardziej rozczzerwienionej pod działaniem pierzyny twarzy ośmnastoletniego chłopaka.

— Dobili?... pan stryj zna się na chorobach — powtórzyło drżącym głosem matczyńsko, odsuwając przyniesioną polewkę, po którą już chory sięgał ręką z pod pierzyny. — Oj, czekajno, czekaj, Jurasiu, bo pan stryj zna się na złych gorączkach.

— No, już że się pan brat zna na rzeczy, to prawda — rzekł pan stolnik.

— Na tej, jak i na wielu innych — poparł sędzia, pani Lochocka i sam chory niespokojnie wpatrywali się tymczasem w pana Szalę.

Pan Szala odchylił pierzyny, obmacał chorego od stóp do głów, pokiwał smutno głową:

— Zle, krewniaczko kochana!... — zdecydował.

— Żle?... — matka i chory zaleli się rzewnymi łzami, a pan Szala dodał:

— Chłopak zatył!...

— Zatył?... — powtórzyli wszyscy zdziwieni tak bardzo, że matce i synowi nawet łzy ustały na chwilę.

— Jak żyję nie słyszałam o takiej chorobie! — szepnęła wystraszona Lochocka.

— A no straszna jest — zapewnił pan Szala — człowiek tak chory, zwolna coraz mniej się do towarzystwa ludzkiego garnie, coraz mniej chodzi i rusza się, aż w końcu tyłkoby jadł i leżał, a ruszać się ze wszystkim przestanie, i... *caput!*... mosterdzieju.

— *Caput?* — krzyknęli obecni.

— A oczywiście, bo jużci, jak się człowiek ruszać przestanie, to i po nim.

— O ja nieszczęśliwa — zawołała Lochocka, ręce łamiąc — a toż szczerza prawda, że Jurek coraz bardziej odstaje od ludzkiego towarzystwa: ani go napędz gdzie w odwiedziny, tyłkoby jadł a leżał!... O, dla Boga! I cóż na to robić?

— Jest tylko jedno lekarstwo, klin klinem, pani siostrze, klin klinem!...

— A to jak? jak, panie stryju dobrodzieju?

— Dać go między ludzi, żeby ciągle wśród nich był,

a ruszać się musiał gwałtem chcąc nie chcąc... to przezwycięży chorobę.

— A nuż nadweręży siły, albo się zaziębi, albo co niezdrowego zje, albo zgryzie się czem niedobrem?...

— A lepiej będzie, jak się ruszać przestanie?... Powiadam pani siostrze: klin klinem: oto jedziemy właśnie na imieniny do pana miecznika, niechajno Jurek z nami jedzie, zobaczymy; toż my swoi, nie wrog, jakby chłopcu było gorzej, będziemy ratowali. Wstawaj, Jurek!

— Zbierz siły, a zmóż się, a wstań, synku, tylko wypij wprzód polewkę, może też dreszcze przejdą!... — namawiała matka; i sykając a kurcząc się od dreszczów, wstał przecież i pięknie odział się chłopak, bo z rozkazem panów stryjów, jak z ojcowskim, pod owe czasy żartów nie było, i pojechało, choć Jurkowi włosy powstawały na głowie ze strachu przed ludźmi obcymi, od których odwykł.

Jakoż było czego się strachać: u miecznikowstwa, jak to w imieniny, zebrało się pół powiatu, panny piękne, młodzież dziarska, starsi poważni a dzielni, a Jurek obracał się wśród tego wszystkiego, jak kołek, ni to do tańca, ni dowcipne słówko powiedzieć, do jednego kielicha mógłby był się wziąć, ale u miecznikowstwa nie było zwyczaju zachęcać do tego młokosów, więc i w tej jedyniej, dostępnej sobie sztuce nie mógł popisać się Jurek. Widział tu i owdzie żartobliwe uśmiechy ku sobie zwrócone i oblewał się rumieńcem wstydu za swe niezdarstwo, i złość go zdejmowała na siebie samego, że dał się stryjom na te imieniny namówić. A wtem wrzawa ogromna powstała wśród starszych panów i wszystko, co żyło, rzuciło się przede dwór z okrzykiem:

— Pan Szala! Pan Szala! Pan cześnik!

Istotnie na środku podwórza, wśród dużego koła rozochoconych panów braci, stał pan cześnik Szala w zbroi, jak do wojny, która to zbroja, jak wiadomo, ciężarem była nie małym i przy ostrogach, jak do konia; a przed cześnikiem o kilkanaście kroków stanęli dwaj co najwyżsi z panów, trzymając duży ręcznik za oba końce:

— Wyżej! — wołał na nich cześnik, a oni podnosili ów ręcznik coraz wyżej, aż jak mogli najwyżej, nad własne głowy podnieśli:

— Ej, panie cześniku, dajno pokój, to za wysoko, zawadzisz ostrogą i runiesz na ziemię, i złamiesz rękę lub nogę!... — mitygowali panowie.

— Albo to ja nie Lochocki Szala?... — wykrzyknął cześnik, biorąc się w boki junacko.

— Co, co pan stryj zamierza?... — myślał Jurko, wytrzeszczając oczy i nie mogąc nawet zrozumieć, o co rzecz?... A tymczasem pan cześnik, rozpędziwszy się, przeskoczył przez ów wysoko trzymany ręcznik, ani go tknąwszy ostrogą.

— Wiwat brat Szala!... a to niby ptak!... — krzyczeli spektatorzy. — A no żelazny ptak, boć cały we zbroi!

I dalejże młodzież naśladować zaczęła sztukę pana cześnika, ale żaden tak wysoko skoczyć nie mógł, choć i bez zbroi nawet.

— To może przez konia skoczyć łatwiej wam będzie — rzekł cześnik i jak wprzód przez ręcznik, tak teraz przez konia wśród ogólnego podziwu przeskoczył.

— Ej, konie do wozu zaprządz, a jechać chyżo! — rozkazał pan cześnik i stał z oszczepem w ręce, a gdy wóz pędził mimo niego, on go też przeskoczył, oszczepem oń się oparłszy. I dużo innych podobnych dowodów siły i zręczno-

ści dawał pan cześnik, a dziwiącym się i wątpiącym odpowiadał:

— Albom to ja nie Lochocki!...

— Ot — szepnęła na to jedna z liczego grona panienek — toż przecież i młody pan Jurek jest też Lochocki, a jednak...

— Lochocki, ale innego klejnotu — objaśniła inna jeszcze ciszej.

— Cóż znowu, wszak to stryj i synowiec, to jakże mogą mieć klejnot nie jednakowy! — obruszyły się panny.

— A ja wam powiadam, że mają nie jednakowy i zaraz was przekonam! — upierała się tamta — proszę spojrzeć tyl-

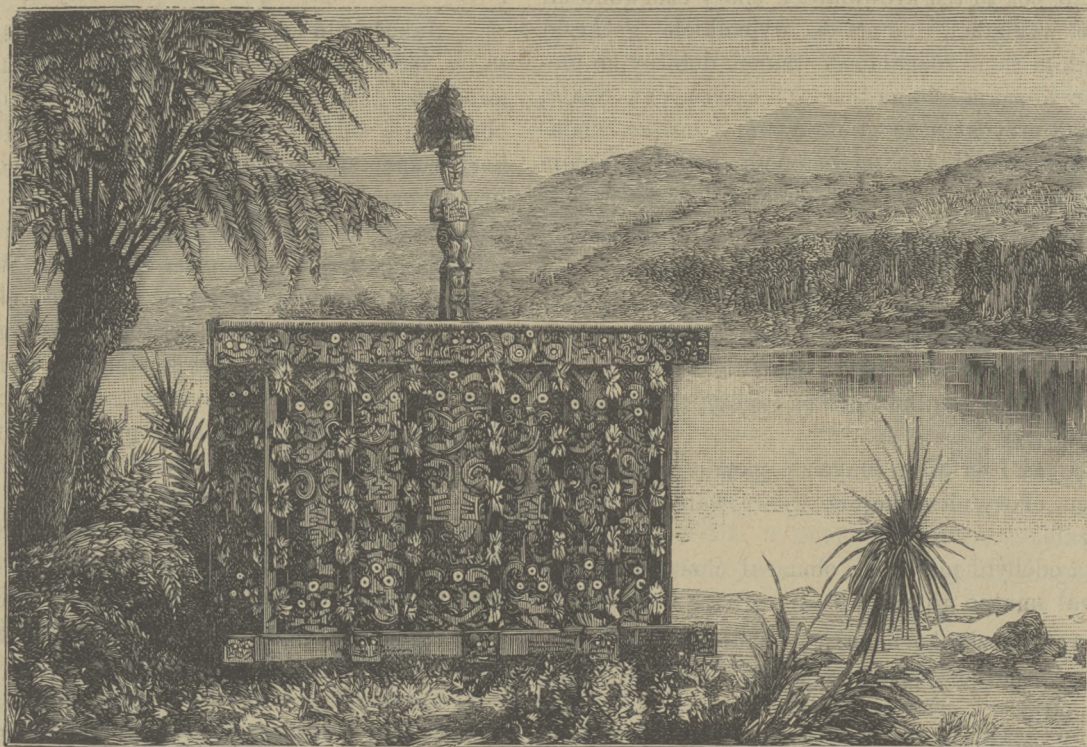
— A co to? kędyż się podziałeś? Czemu znikłeś z kompanii, synku? — spytano.

— Znikłem i słowo szlacheckie panom stryjom daję, że nie pokażę się w ludzkiej kompanii, dopóki z barana nie stanę się takim, jak stryj cześnik, junakiem — odpowiedział łzami zalany chłopak. — A jak nie...

— To co, jak nie?

— To pójde do klasztoru między mnichów i oko ludzkie nie ujrzy mię więcej — łkał Jurek. Stryjowie spojrzeli po sobie, i rzekł pan cześnik:

— A nie poprosiłbyś matki, aby cię oddała pod moję komendę, to możebyśmy i popróbowali przerobić cię na junaka?



Grobowiec wodza Maorisów.

ko, jaką minę ma pan stryj, dokazując swoje sztuki; toć widać musi mieć klejnot Junosza, bo jest junak, a proszę popatrzeć na pana Jurka, jak tam stoi w kącie z wytrzeszczonymi oczami, czyliż nie najwyraźniej, jakoby na czole wypisano mu tam jest, iż jest on herbu... Baran...

Burza tłumionego śmiechu wybuchnęła na te słowa wśród panien, które wszystkie na raz ku Jurkowi oczkiem rzuciły. Chłopak spłonął, bo słuch miał doskonały, a panny ucichły zawstyżone, spostrzegłszy, że śmieszków ich dosłyszał. Dosłyszał i ktoś z panów i w jednej chwili złośliwy dowcip panieński zabrzmiał we wszystkich ustach; wszystkie oczy zwróciły się ku młokosowi herbu Baran, ale Jurka już nie było. Znikł. Zakłopotani mocno tem zniknięciem stryjowie, pośpieszyli się z opuszczeniem wesołej kompanii, aby chłopaka poszukać, ale szukać nie potrzebowali, bo z najbliższych krzaków tuż przy drodze wylazł Jurek i wsiadł do nich na brykę.

— Poproszę! — wyłkał chłopak. Poprosił istotnie i dopiero na przyszły rok, dokazując na równi ze stryjem na imieninach u miecznikostwa, dowiedział się, że złośliwy przeszłoroczny dowcip panieński był pannom przez stryja Szale podszepnięty.

Grobowiec wodza Maorisów.

Krajowcy wyspy nowej Zelandyi zowią się Maorisami, lud ten, ani powierzchowną postacią, ani pod względem umysłowym nie jest tak upośledzony, jak mieszkańcy pobliskiej Australii. Odkiedy Europejczycy odkryli Nową Zelandyę i osiedlać się na niej zaczęli, liczba krajowców nieustannie się zmniejsza, a jeżeli to dłużej potrwa, wkrótce Maorysi do szczytu wyginą i pamięć tylko po nich pozostanie, jak po wielu zwierzętach wytopionych. Nie można jednak powiedzieć, aby przybysze z Europy okrutnie się z nimi obcho-

dzili, trudno określić dokładnie przyczynę tego ubywania ludności, które jest jednak faktem niezaprzeczonym.

Dziś większość Maorysów nawróciła się na religię chrześcijańską, obrzędy pogańskie rzadko się odbywają na wyspie, to też grobowiec, na rycinie przedstawiony, przywieziony był niedawno do Anglii, jako wielka osobliwość. Jest to rodzaj skrzyni drewnianej, czerwoną farbą pomalowanej, posążek u góry wyobraża wodza, którego szczątki tam były złożone przez lat siedm, według miejscowego zwyczaju, póki nie pozostały z nich tylko obnażone kości.

Po upływie tego czasu skielet przeniesiono do wnętrza wygasłego krateru, grobowiec zaś miał być zniszczony, lecz Anglik pewien znalazł sposób nabycia go, co nie przyszło mu bez trudności. Niedługo też kości wodza spoczywały w głę-

dzianą parę lat temu przez żeglarzy amerykańskich na samym cyplu przylądka Barrow, na półwyspie Alaska. W okolicy pobliskiej widzieli ciż sami żeglarze dwie ogromne góry lodowe, w tak szczególny sposób przylegające do siebie szczytami, że tworzyły wyniosłą, wspaniałą arkadę. Przepyszny, ale straszliwy zarazem jest widok, gdy te ogromne, ciężkie masy lodowe poczną się poruszać, płynąć, niekiedy spotykając się i uderzając o siebie z łoskotem. Następuje to na wiosnę, gdy lody częściowo topnieją i strumienie, z urwistych brzegów spływające w morze, podmywają stopy lodowatych olbrzymów.



Góra lodowa.

bi podziemia, wulkan, od dwóch czy trzech wieków drzemiący, wybuchnął parę lat temu i całą okolicę zagrzebał pod strumieniami lawy i obłokami popiołów.

GÓRA LODOWA.

Dla ludzi, urodzonych i wychowanych w klimacie umiarkowanym, zarówno męczący jest pobyt w gorących, zwrotnikowych strefach, jak i w zimnych, podbiegunowych. Lecz miłość nauki przewycięża wszystkie przeszkody, nie zważając też na trudy i niebezpieczeństwa, raz po raz gromadki podróżników dążą i w głąb Afryki, i na północ, do krainy wiecznych mrozów. Największą osobliwość tych stref podbiegunowych stanowią góry lodowe, które niekiedy dochodzą olbrzymich rozmiarów i najdziwniejsze przybierają kształty.

Rysunek nasz przedstawia szczególną taką bryłę, wi-

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Lakington.

Jak to pracą i wytrwałością można dojść do nabycia nauki i znaczenia w świecie, uczą nas przykłady czerpane z życia ludzi zasłużonych. Oni nieraz w nędzy poczynali życie, nie mieli ani sposobności, ani środków nabycia wiedzy, ale silna wola za wszystko im starczyła.

Jednym z takich dzielnych mężów był Lakington, sławny księgarz londyński. Urodził on się w ubóstwie i do lat 12 niczego się nie uczył; nie mogąc znaleźć zatrudnienia w swem małym rodzinnem miasteczku, udał się do Londynu i tam roznosił po ulicy ciastka, ciesząc się tym drobnym zarobkiem przez kilkanaście miesięcy. Później oddano go do szewca, aby mu jaką taką przyszłość zapewnić; chłopczyzna chętnie zabrał się do tej nowej pracy, a zapoznawszy się z czeladnikami, którzy umieli czytać, takiż nabrał chęci do nauki, iż w bardzo krótkim czasie sam już dość biegle czytał.

Uspiona duszyczka chłopca budzić się poczęła, całą siłą rwał się do książek. Ale cóż? przez cały dzień trzeba było pracować nad obuwem, a w nocy majster nie pozwalał światła palić. Chłopiec czytywał tylko przy świetle księżycy, dziękując Bogu, że mu dał tak dobry wzrok. Majstrowa i o to się gniewała, myśląc, że niewyspany chłopiec nie będzie miał siły do pracy, nieraz nawet i kija używała, ale i to nie zrażało go i nie osłabiło w nim chęci rozszerzenia zakresu swych wiadomości.

Z początku czytywał tylko Pismo Ś-te, różne kazania i nauki, ale poszedłszy raz do teatru, nabrał takiego upodobania do poezji, że kupił sobie zaraz tłómaczenie Iliady; dodać należy, że miał już wtedy 21 lat, umiał więc zastanawiać się, a wrodzony smak dał mu poznać odrazu piękności tego arcydzieła. Odtąd Lakington cały swój dochód obracał na książki i po pewnym czasie doszedł nawet do tego, że sobie zebrał małą biblioteczkę. Z książek tych czerpał dużo wiadomości, z jednych dzieł dowiadywał się o istnieniu drugich, a wyczytawszy o filozofach w starożytności, kupił sobie zaraz w jakimś kramiku dzieła Platona, Seneki, Epikura i Konfucjusza. Z ksiąg tych, jak później sam opowiadał, odniósł więcej korzyści, niż ze wszystkich, przeczytanych do tego czasu. Nauczył się znosić cierpliwie niedolę i nieszczęście, poznał, że ich uniknąć w życiu niepodobna, stosował się z potrzebami do funduszu, jaki posiadał i nigdy nie czuł się przygnębiomym. Za dewizę wziął sobie zdanie Sokratesa, które mu się niezmiennie podobało: „Przestawaj na tem, co masz, ale staraj się o polepszenie losu”.

Dzielny młodzieniec starał się też o to wszelkimi sposobami, tembardziej, że powiększyły się jego wydatki, gdyż ożenił się z młodą, piękną, ale zupełnie ubogą dziewczyną. Małżonkowie najeli sobie małą izdebkę na jakimś poddaszu, pracowali gorliwie, śpijąc przytem wesołe piosenki, a choć było u nich ubogo, czasami nawet chłodno i głodno, nie narzekali jednak na los i wzajemnie dodawali sobie otuchy.

Aż tu naraz wstąpiła w ich progi ta najzaciętsza nieprzyjaciółka biednych — choroba, oboje uleż jej musieli. straszne to były chwile! Kilka miesięcy przeszło, zanim które z nich mogło się zabrać do roboty, a tu podwójnie pracować trzeba było: w chorobie wyczerpali się co do grosza, nawet zapożyczyli. Biedny szewc na wszystkie strony starał się o robotę i wkrótce dostał jej tyle, że nawet wydołać nie był w stanie. I znów szczęśliwsza zajaśniała gwiazda. Żona po dawnemu pracować zaczęła, a i spuścizna dostała im się po dziadku, można więc było zapłacić dług, oporządzić się trochę i pomyśleć o jakimś przedsięwzięciu, dającem znaczniejsze dochody. Radzono Lakingtonowi, aby założył sklepik, a może mieć więcej roboty i łatwiejszy jej zbył. Rada ta bardzo mu się podobała, bo przyszło mu na myśl, że mógłby tam sprzedać i stare swoje książki.

— Mam parę ładnych dzieł — rzekł do swego przyjaciela i doradcy — spróbuję je sprzedać, a może co zbiorę.

Przyjaciel roześmiał się i zapytał:

— Czy masz zamiar zrobić majątek na tych starych książkach?

— Majątek, jak majątek, ale zawsze jedno przy drugim... — odparł pełen dobrej myśli Lakington, i raz po wzięwszy to postanowienie, obstawał przy niem uparcie.

W roku 1774 otworzył sklepik z obuwem, mając przy tem i kilkanaście książek do sprzedania. Z łatwością sprzedał parę tomów, ach! jakąż mu to sprawiło radość! Sprzedanie dzieła zastąpił innemu, a zadawałnając się małym zyskiem, ściągał coraz więcej kupujących. Nareszcie postanowił porzucić szewstwo, a wziąć się wyłącznie do księgarstwa. Szło mu nieźle. Książki znajdowały nabywców, fundusik powiększał się, to też i zakupy można było robić większe, ale znów przyplatało się nieszczęście: Żona Lakingtona umarła, a i on sam zachorował niebezpiecznie. Przyczyniło się to do przerwy, a tem samem i straty w interesie, ale i ta wkrótce powetowana została, energiczny księgarz, nie lubiący przytem samotności, niedługo wstąpił w nowe związki małżeńskie, majątku i teraz nie wziął za żonę, ale pojął pa-

nienkę miłą, wykształconą i bardzo pracowitą; niezmiennie lubiła książki, znała wiele dzieł, umiała też zastępować męża w księgarni, dając mu tym sposobem więcej czasu i sposobności rozszerzenia handlu.

W roku 1779, t. j. w pięć lat od chwili założenia szewsko-księgarskiego sklepiku, Lakington miał już 30 tysięcy tomów. zdarzało się, że nie jadł śniadania lub obiadu, gdy potrzebował pieniędzy na kupno jakiejś nowej książki, ale ofiarę tę ponosił z wewnętrznym zadowoleniem. Mając ciągle do czytania z książkami i czytając wiele, nie tylko już z zamilowania, lecz z konieczności, tak zapoznał się z literaturą, tak wykształcił we wszystkich gałęziach nauki, że stał się jednym z najwięcej poszukiwanych i cenionych księgarzy. Zdanie jego, tak dla autorów jako też i publiczności było niemal wyrocznią.

Nareszcie rodzina mogła już żyć dostatniej, jeść obficie, jednakże stopniowo powiększał Lakington wygody życia; do skromnego dawniejszego obiadu przybyła później pieczeń, następnie legumina, a w jakiś czas potem nawet butelki z winem i śliwowicą znajdowały się na stole państwa Lakingtonów. Tak dochodząc do coraz większego majątku, mieli już i willę poza miastem, w niej przepędzali letnie miesiące, trzymali powóz i konie i... wzbudzali zazdrość w ludziach złych i chciwych, którzy w żaden sposób pojąć tego nie mogli, jak nędzny ulicznik, później prosty szewczyk, mógł dojść do takiego w świecie stanowiska. A czemuż on to zawdzięczał? pracy, cierpliwości i żelaznej woli.

Ludzie uczciwi i zacni ubiegali się o jego towarzystwo i z szacunkiem ściskali dłoń tego szewca-księgarza, który za przykład wielu pracownikom mógł służyć. Nie zapierał on się nigdy swego pochodzenia, owszem sam nieraz o niem opowiadał, jako też i o kolejach swego życia, a nawet wybrał się kiedyś do swego rodzinnego miasteczka, aby zobaczyć miejsca, po których bujał w dzieciństwie i poznać ludzi, pośród których wyrósł. Przyjęto go uroczystie, przy głośnych okrzykach i odgłosie dzwonów, wyrażając wdzięczność za zaszczyt, jaki im zrobił i polecając się jego pamięci i sercu.

Helena Bojarska.

W DZIEŃ IMIENIA.

(Dla Meci Ch.)

Nie życcie mi szczęścia, bo szczęście przeleci,
Jak letnia pogoda się zmienia;
Po szczęściu zostanę, jak garstka psitrych śmieci,
O chwilach wesołych wspomnienia.
Życzcie mi zdrowia. . . lecz chociaż powiecie,
Że szczerze są wasze życzenia,
Wszak robak i w bujnym wylęga się kwiecie,
A w sercu, przy zdrowiu, zmartwienia.
Życzcie mi także powodzeń na świecie,
Życzcie mych marzeń spełnienia;
Lecz życie się z samych powodzeń nie plecie,
Więc próżne są wasze życzenia.
„I czegoż ci życzyć?” nareszcie powiecie,
„Szalone są twoje zachcenia,
„Czy gwiazdki chcesz z nieba, czy raj u na świecie,
Czy skrytych twych chęci spełnienia?”
O! czego ja pragnę, wy pewno nie wiecie,
Skromniejsze są moje życzenia.
Ja pragnę spokoju. „Czy tylko?” powiecie.
Tak, tylko — spokoju sumienia,
Ten spokój zastąpi mi wszystko na świecie,
On da mi spełnienie marzenia.

Orso.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

XXIII.

Budowy fermitów.

Jeden tylko wujaszek Bak nie dzielił uciechy powszechnej. Zielniki jego, pomimo obietnic p. Katarzyny, ucierpiały dużo, rośliny wprawdzie pozostały, lecz większa część była w opłakanym stanie. Energiczna panienka, chcąc jak najspieszniej dostarczyć puszkarzom papieru, wzięła na siebie poprzekładanie okazów w księgi, załatwiła się z robotą bardzo prędko, ale za to, gdy wujaszek zajrzał po ukończeniu wojny do swoich zbiorów, nieborak ręce załamał z rozpacz. Zabrał się wprawdzie gorliwie do uporządkowania roślin, papieru teraz nie brakło już w sklepach miejskich, porobił więc nowe zielniki, pracował dzień i noc, a tu kazano mu gotować się do podróży. Jeden Karol dzielił troski starego botanika, pomagał mu, słuchał cierpliwie jego żalów i swoje z nim razem rozwodził. Znosił nawet nieraz niesprawiedliwe gderania, bo wujaszek Bak, nie mając odwagi napadać na winowajczynią rzeczywistość, na nim gniew spędzał z najmniejszą krwią.

— Aha! ty się cieszysz — mówił z kwaśnym uśmiechem — niema zielników, mniej będziesz miał kłopotu z pakowaniem.

— Ależ ja pro-pro-pro-szę - pa-a-a-na u-pa-pa-ku-ję ..

— A co upakujesz? Te nędzne, połamane resztki? Czy to warto wozić do Europy? A zielnik był taki, że wprawiłby świat cały w podziwienie.

Byliśmy już zupełnie gotowi do podróży, gdy pewnego rana szejk El Bakai wszedł do pokoju, gdzieśmy obaj z Francuzem rozmawiali.

— O przyjaciele, o bracia! — zawołał od progu — przychodzę z wiadomością niemiłą dla was, lecz winienem prawdę powiedzieć. Nie możecie się puszczać w podróż.

— A toż dla czego? cóż to za nowa przeszkoda?

— Przeszkoda bardzo ważna. Z głowy mi to wyleciało i nie przestrzegłem was wcześniej. Ale Auab oczy moje otworzył.

— Cóż on on znów wymyślił tak mądrego, ten wielki wódz Tademeketów? — zapytał p. Lemerrier.

— O tak, mowa jego jest pełna mądrości — rzekł szejk El Bakai — on mi przypominał, że niebawem rozpoczyna się „czarne noce”.

— Czarne noce? — powtórzyłem ze zdziwieniem.

— Ach, tak, niestety! — westchnął p. Lemerrier. — Tuaregowie czarnymi nocami nazywają porę deszczów, która w rzeczy samej się zbliża i za parę dni na dobre nastanie.

Wszystcyśmy o tem zapomnieli, tymczasem szejk i Auab mieli zupełną słusność, podróż w tej porze byłaby istnem szaleństwem. Przybyliśmy do Timbaktu na początku Listopada. Od 1 Grudnia do 15 Lutego trwa w tej strefie pora wiatrów i nieustannej prawie pogody. Deszcz jest w tym czasie zjawiskiem bardzo rzadkiem, temperatura jednak nie przechodzi 30 st. Celsjusza. Od 15 Lutego nastały większe upały, termometr dochodził do 60 st. nie opadł nigdy niżej jak do 45 st. susza nie ustawała, teraz zaś, w pierwszych dniach Lipca, powietrze nieco się odświeżyło, było to zapowiedzią deszczów, które trwają parę miesięcy i zazwyczaj przybierają rozmiary potopu. Poszedłem natychmiast uwiadomić p. Katarzynę o powodach, zmuszających nas do odłożenia podróży. Nie mogła powstrzymać westchnienia, zniosła jednak mężnie tę niespodziewaną przeciwność, zanedta też była rozsądna, ażeby się miała upierać w obec konieczności.

— Masz pan słusność — powiedziała ze zwykłą powagą i zimną krwią — nieroztropnie było z naszej strony, żeśmy o tych deszczach zapomnieli. Ale cóż dziwnego, tyle

ważnych wypadków pochłaniało nasze myśli. Wdzięczna jestem wodzowi Tademeketów, że nas w porę przestrzegł, bo mogliśmy to ciężko odpokutować. Chciej mu pan podziękować odemnie.

Nie omieszkalem spełnić tego polecenia, wiedziałem bowiem, jaką przyjemność sprawi wodzowi to podziękowanie. Nie wątpię, że on był uszczęśliwiony z tego, co nas tak martwiło, bo pragnął jaknajdłużej patrzeć na piękną, ubóstwianą cudzoziemkę. A nie tylko Auab szczerze się ucieszył tem opóźnieniem podróży, i wujaszek Bak nie ukrywał nawet radości swojej. Dla niego było to prawdziwym zarządzeniem Opatrzności, wyborem sposobem powetowania straty owych cennych skarbów, urządzenia nowych zielników. Jak tylko się dowiedział, że musimy siedzieć i czekać, aż przeminie pora potopu, zaraz się zabrał do dzieła i zacierając ręce uganiał z Karolem po polach i ogrodach, znosił też coraz to nowe osobliwości, ale nie chwalił się temi zdobyczami, układał je w tajemnicy, jakby się obawiał powtórnej klęski.

Nieraz pocziwiec naraził się na zmoknięcie, bo pora deszczów już rzeczywiście poczęła na dobre dawać się we znaki, nie zważał jednak na nic, zmieniał ubranie i ruszał dalej, jak tylko na chwilę ulewa ustała. To też wnosiliśmy z wesołego usposobienia wujaszka, że zielnik wkrótce dojdzie znowu do poprzedniej świetności i Europę zadziwi. Aż wreszcie nadszedł dzień, gdy i on nawet musiał pozostać w domu, bo niepodobna było za próg się wychylić. Było to 15 Sierpnia, Niger wystąpił z brzegów i zaalał pola okoliczne mętami, spienionymi falami, statki z Kabary podpływały pod mury Timbaktu, a deszcz lał ciągle strumieniami.

Powódź nam jednak nie zagrażała, gdyż miasto leży na wyżynie, o 245 metrów nad poziomem oceanu Atlantyckiego. Zresztą my, mieszkańcy Niderlandów, nie obawiamy się powodzi, jesteśmy istotami ziemnowodnymi. W ojczyźnie naszej morze tak często wylewa i zatapia ląd nadbrzeżny, żeśmy do tej klęski przywykli. Już przed rokiem 1570 roczniki nasze zapisały dwadzieścia ośm wylewów znaczniejszych, w owym pamiętnym roku powódź przybrała rozmiary przerażające; cała Fryzja wyglądała jak wzburzone morze, sto tysięcy ludzi zginęło w przeciągu kilku godzin. Klęska ta nie była ostatnią, niejedna jeszcze spadała na ojczyznę naszą w czasach późniejszych, a jednak Holandia i Belgia nie przestały być zamieszkałe. Ale wszakże ludzie osiedlają się nawet i na stokach Wezuwiusza.

Timbaktu zamieniło się w wyspę, ze wszystkich stron wodą otoczoną, łodzią tylko można było wydostać się poza mury miasta. Dopiero 25 Sierpnia ustała pora nocy czarnych, a nastąpiła inna, przewana na odwrót przez Tuaregów nocami białymi, gdyż po ustaniu ulewnych deszczów, pogodna noce, rozjaśnione blaskiem gwiazd i księżyca, znacznie się różnią od poprzednich ciemnych z powodu chmur ciężkich, osłaniających niebo. Pora ta jest najniebezpieczniejsza dla mieszkańców tych okolic, gdyż grunt lekki, piaszczysty, podmyty głęboko powodzią, potem osuwa się nagle, gdy wody opadną i tworzą się wyżłobienia podziemne, a budynki tracą podstawę, która je utrzymuje i nagle w głąb zapadają. Dowiedzieliśmy się dnia pewnego o podobnem zapadnięciu całej wioski w pobliżu Kabary.

Podczas opadania Nigru mieliśmy sposobność zebrać niemało ciekawych okazów fauny i flory rzecznej, które woda pozostawiała pod samymi prawie murami miasta. Parę razy oglądaliśmy zbliżka owego manata „ayu”, czczonego przez pogan afrykańskich. Biedne stworzenie, osadzone w mule, nie wyglądało wcale na potężne bóstwo. Pola okoliczne pokryte były rozmaitemi wodorostami, nie brakło pomiędzy nimi rzadkich gatunków, jak słynny lotus, *nymphaea lotus*, a takie wujaszek Bak natychmiast zabierał do swoich zbiorów i zbogacił je tym sposobem znakomicie. Co chwila wydobywał z mułu skarby nieocenione, wydając okrzyki radości i wołając Karola na pomoc. A mój pocziwyw sługa powtarzał na swój sposób, jakając się i dławiąc, wykrzykniki starego botanika. Nowe zielniki, dzięki powodzi, o wiele przeszły dawniejsze.

Sierpień już się kończył, deszcze ustały, rzeka cofnęła się do swego łożyska, drogi przesychały po trochu. Mogliśmy nareszcie znowu myśleć o podróży, otrzymaliśmy wiadomości listowne ze świata cywilizowanego, kapitan „Ortelius’a” donosił, że stał przy ujściu Nigru i czekał naszego przybycia. P. Katarzyna, pomimo przedstawień moich, postanowiła udać się drogą lądową do wybrzeży Atlantyku. Przygotowania były ukończone, wyjazd naznaczony na 30 Sierpnia.

Zniecierpliwiona długiem oczekiwaniem, p. Katarzyna z radością wielką wybierała się w drogę, obaj bratankowie jej towarzyszyli, Edgar jednak tylko do portu, ztamtąd zamierzał powrócić do Hamd-Allahi, zdać sprawę sułtanowi z czynności wojennych, w których brał udział i dalej pozostać dowódcą Fulanów, w nadziei, że sułtan nieza długo mianuje go szefkiem, lub wyższym jeszcze dostojnikiem. Nic nie mogło go odwieść od tego postanowienia, przywykł do Afryki, do życia na wpół dzikiego, utrzymywał, że byłoby mu niewygodnie w obcisłych sukniach europejskich, że uziąłby w tym chłodnym klimacie. Henryk odmienne miał upodobania, z radością powracał do ojczyzny, cieszył się nadzieją zamieszkania w wsi, w ładnym domku, otoczonym ogródkiem, a wujaszek Bak obiecał mu dać cebulki najpiękniejszych tulipanów, z tych zaś gatunek *semper Augustus* sam jeden miał wartość nieobliczoną.

(d. c. n.)

Rozstrzygnięcie konkursu robót.

Przedewszystkiem dziękujemy serdecznie miłosiernym i pracowitym dziewczątkom, które tak skwapliwie pośpieszyły na wezwanie nasze i nadesłały mnóstwo ładnych i pożytecznych robótek. Ubogie dzieci z nich skorzystają, błogosławiąc rączki, które dla nich pracowały. Ubrania te będą w części rozdzielone wśród ubogich dzieci, znanych redakcyi, w części zaś pójdą do Szpitalika dziecinnego, gdzie często biednej dziatwie, przychodzącej do zdrowia, braknie okrycia. Doniesiemy o tem później dokładniej, tymczasem wyliczymy robótki odznaczone nagrodami.

Nagrodę 1-go stopnia otrzymały: 12 letnia Bławatka z nad Horynia. — 12 letnia Halka z Litwy. — 12 letnia Jabłonka. — 12 letnia Jedynaczka z nad Bugu. — 10 letnia Kukułka z pod Lublina. — 14 letnia Litwinka z nad Niemenka. — 8 letni Maczek. — 13 letnia Mazurka z nad Narwi. — 13 letnia Topolka z Żytomierza. — 13 letnia Topolka srebrnolistna.

Pseudonimy podajemy według porządku alfabetycznego, zarówno jak i następujące.

Nagrodę 2-go stopnia otrzymały: 13 letnia Etna. — 13 letnia Gospośia z nad Warty. — 8 letnia Iskierka z pod Lublina. — 10 letnia Iskierka lubelska. — 9 letnia Jutrzenka. — 13 letnia Jutrzenka. — 12 letnia Kukułka z nad Niewiarzy. — 9 letnia Kotwiczka. — 12 letnia Konwalijska. — 13 letnia Łozinka z nad Kresów. — 7 letnia Muszka brzęcząca. — 11 letnia Mgła. — 10 letnia Pieszczocha. — 10 letnia Pszeniczka. — 9 letnia Rybka z Niemenka. — 9 letnie Światelko. — 11 letnia Sikorka z nad Dniestru. — 14 letnia Stokrotka z nad Stochodu. — 13 letnia Topolka Srebrna. — 4 letnia Tuberoza.

Na odznaczenie 3-go stopnia zasłużyły: 14 letnia Brzoza z Gaiku. — 12 letnia Goplana. — 11 letnia Gołąbka ukraińska. — 11 letnia Hanka z pod Radomia. — 12 letnia Kalina.

— 11 letnia Lilijka wodna. — 13 letnia Lilijka wodna. — 7 letnia Mała Laszka. — 12 letnia Owieczka. — 11 letnia Rutkiewska. — 14 letnia Reginka. — 10 letnia Rezeda. 11 letnia Stokrotka różowa. — 10 letnia Trawka. — 12 letnia Wieśniaczka. — 7 letnia Wiewiórka. — 13 letnia Wiosna. 11 letnia Wiejska Dzieweczka. — 13 letnia Zawierucha.

Poza konkursem przysłały roboty 15 letnia Podlasianka. — 15 letnia Sarenka z nad Morocz. — Marynia Rutkiewska, która nie wymieniła ani lat, ani pseudonimu nie podając przeto do konkursu zaliczoną nie była.

PROZA I POEZJA.

Młodości żal w ustach każdych, chęć zwrotu jej w sercu każdym, szczęścia i miłości pory, myśli ognia, lotu ducha. Lecz czyż południowe słońce mniej niż u wschodu ogniste? Czyż gdy głowę skłania do snu, blasku ma mniej i obwodu?

*

*

A światło, co nie gaśnie, duch, przedwiecznego słońca promień, przez to właśnie miałby stygnąć, że bliższy swego ogniska? Z ciałem razem miałby słabnąć, on, którego na ziemi cel: wzrosć i ciałem życiem się wzmódz, by z niebieskimi się zrównać?

*

*

O! kto w zapалу dniach młodych usłucha słów Pańskich prawdy, w służbę ciału w wiarę świata, nie da serca; takiego nie starzeje duch, i gdy marna plewa, ciało niszczy i kruży się w proch, jak cedr, rośnie z ziarna w niebo.

(Ułożyć trzy strofy ośmiowerszowe).

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA (R. Z.)

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*
*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*
*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*
*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*	*

Siedmnaście wyrazów pięciogłoskowych ułożyć na miejscu kropki i gwiazdek w kierunku pionowym. Znaczenie wyrazów: 1. Stolica europejska. 2. Miasto w Poznańskim. 3. Miasto gubernialne w królestwie polskiem. 4. Rzeka w Polsce. 5. Wyspa na morzu Śródziemnem. 6. Miasto w Czechach. 7. Rzeka wpadająca do Dniepru. 8. Rzeka w Galicyi. 9. Miasto we Włoszech. 10. Wyspa hiszpańska. 11. Państwo europejskie. 12. Rzeka w Rosyi. 13. Góra w Azji. 14. Wyspa azjatycka. 15. Miejsce lecznicze w Galicyi. 16. Kraj w Afryce. 17. Rzeka we Włoszech. Z liter, zastępujących gwiazdki, powinno się utworzyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go

Szarady:

A — mel — ja. Kamelja.

Kwadratu magicznego:

Plon — Elba — Kolek — Irawadi — Niemen — Gräfenberg. Peking.

TREŚĆ: Zbiór legend i podań dawnych. — Grobowiec wodza Maorisów (z drzew.) — Góra lodowa (z drzew.). — Księga pamiętnych czynów, p. Helenę Bojarską. — W dzień imienia, wiersz p. Orso. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.). — Łamigłówni, rozwiązywania. **Dodatek:** Matusia, wiersz (z drzew.) p. Z. Morawską. — Na polowaniu, p. M. Krz. — Opowiadanie białego kucyka, spisała Marya z Grabowa (c. d.). — Łamigłówni i rozwiązywanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.



MATUSIA.

„Śpijże lalusiu moja kochana”
Śpiewała Zosia lalce od rana,
Ale lalusia oczek nie mruży,
Bo w okno patrzy dzionek już duży,
I wzywa wszystkich co długo spali,
Aby do pracy żwawo powstałi.
Więc się i Zosia z pościeli zrywa,
I jako dobra mateczka tkliwa,
Razem z lalczką pacierz odmawia,
Potem ją uczy, do pracy wprawia,
I wciąż się krząta, dzionek jój schodzi,
Bo praca wszystkie godziny słodzi.
A dobra Zosia dla swój lalczki
Jest tem, czem matka dla swój córeczki.

Z. Morawska.

NA POLOWANIU.

Stefuś i Amelka bawili chwilowo na wsi u bardzo dobrego wuja i wujenki. Ci, nie mając własnych dzieci, kochali tem bardziej małych siostrzeńców, i przeto czasem pozwalali pieścuchom trochę zawiele. Na jedną wszakże rzecz nie chcieli nigdy pozwolić, a to, aby dzieci szły z wujem na polowanie. Żadne prośby nie pomagały:

— Nie nudźcie mię, malcy nieżnośne, bo się rozniewam! — krzyczał wuj, który miał już taki sposób wyrażenia się, niby gniewny, a żartobliwy w istocie.

— Wiecie dobrze, że ja nie mam zwyczaju mówić zbyt często „nie” ale za to, gdy raz powiem, to rzecz skończona! Broń palna nawet w ręce najlepszego strzel-

ca jest rzeczą niebezpieczną, ja polując drzę zawsze, aby zamiast zajaca, kuropatwy lub czego innego podobnego, nie postrzelić gajowego, albo baby, zbierającej poziomki czy grzyby, czy chłopaka urwisa, wybierającego ptaszki z gniazda. Za nic w świecie nie wezmę was z sobą, bo musiałbym jeszcze i na was uważać, a to byłoby za wiele dla mnie kłopotu.

Wujenka przemawiała mniej więcej tak samo, dzieci więc umilkły; przestały prosić, ale jako rozpieszczone trochę, nie dały za wygraną. Zresztą przyznać trzeba na ich usprawiedliwienie, że były to jeszcze małe dzieci, a więc i rozumu nie mogły mieć dużo: Stefuś miał dziesięć lat, Amelka ośm. Po stanowczej wuja odmowie, wzięli się oboje pod rączki, jak mieli zwyczaj chodzić, (ponieważ wuj z wujenką tak chodzili) i poszli do ogrodu.

— Biedaczki — żałowała ich wujenka — namar-twią się niemało, nim się z losem pogodzą.

Nie domyślała się wujenka, że upartym pieścuchom wcale się martwić nie chciało.

— Słuchaj, Mela! — rzekł Stefuś stanowczo — kiedy wuj nas wziąć nie chce, to pójdziemy sobie sami na polowanie i basta!

— Sami! oj jój! a jakżeby to było? — z przestachem spytała Amelka.

— Et, nie dziecinij się tylko, a zobaczysz, że dobrze będzie; przecież ty nie pójdziesz sama, tylko ze mną, więc nie masz się czego bać; a ja mam fuzyą!

— Cóż z twojej fuzyi, kiedy ona na prawdę nie strzela, tylko tak sobie puka!

— A ty myślisz, że na polowaniu to już koniecznie z fuzyi strzelać trzeba? Jakażeś dziecinna! Czy to nie widziałaś, jak w naszych oczach Antek cisnął kijem, w zajaca, siedzącego daleko w bruździe i upolował na miejscu? A jak to Zośka przyniosła w fartuchu żywą kuropatwę, razem z piskletami, których odstąpić nie chciała, a więc Zośka ją upolowała!

— A prawda! ja zupełnie zapomniałam o tej kuropatwie! Kiedy tak, to i ja chętnie pójde na polowanie, bo kilka kuropatek żywych chciałabym sobie upolować na chowanie; ale zabijać niewinnego zajaca, który nikomu wielkiej szkody nie robi, choćby i samą kapustę czy sałatę jadał, nie chciałabym za nic na świecie!

— Ej, dziecinństwo! A jak się idzie na polowanie z kordelasem takim, jak wisi u wuja na ścianie, i przypuściwszy niedźwiedzia na trzy kroki, pakuje mu się kordelas w samo serce!... to co?

— Brr!... okropność! za nic w świecie nie chciałabym tak polować; ciekawam, co komu niedźwiedź wienien, kiedy nawet mięsożerny nie jest! Co innego tygrys, lew, lampart, to rozumiem, bo ci, pozjadaliby ludzi, gdyby im się nie bronili, więc coś mają ludzie robić z biedą!

— Tak, ale jakby ludzie nie zdobyli sobie niedźwiedziego futra na szuby, to co by było? Pomarzliby; prawda?

Amelka nie mogła zaprzeczyć, że bez niedźwiedziego szuby byłoby w mróz zimno każdemu, kto ją nosi i przekonana zupełnie dowodzeniami brata, a ożywiona na-

dzioją całego stada żywych kuropatewek, zgodziła się iść na polowanie. Nazajutrz tedy zaraz, po śniadaniu, gdy wujostwo poszli każde w swoją stronę do dużego gospodarstwa, któremu się z zamiłowaniem oddawali, dzieci pobiegły do szafarki Grodzkiej, ulubionej staruszki i prosiły jej o zapasy, bo idą na daleką podróż. Grodzka uśmiechnęła się, popieściła pieszczochów i nadawała im mnóstwo różnych przysmaków, aby w podróży głodu nie cierpieli; takie bowiem wyprawy często się zdarzały, a odbywały się w ten sposób, że dzieci, postanowiwszy na przykład jechać do Częstochowy, zaznaczyły sobie z mapy różne miasta, przez które istotnie wypadałoby im do Częstochowy od wujostwa jechać, pisały wielkimi literami nazwiska tych miast na białych ćwiartkach papieru, i zawieszały te ćwiartki na drzewach w ogrodzie w pewnych odległościach. A potem, założwszy sobie czerwone lejce z dzwoneczkami, wyjeżdżały dzieci prosto z domu i jechały porządnie i uważnie drogą naznaczoną na drzewach, zatrzymując się w każdym mieście i popasając sumiennie.

Tak to bywało zawsze, dzieci jeździły w ten sposób do Lublina, do Warszawy i różnie, ale teraz stało się trochę inaszej. Bona usiadła jak zwykle w progu domu z szyciem, aby dawać baczenie na dzieci, a dzieci, wybrawszy się w podróż, wymknęły się tylną furtką z ogrodu i poszły sobie do pobliskiego lasu. Furtka była nie zamknięta, i nawet nie zakazano dzieciom tamtędy wychodzić, bo nikomu nie przyszło dotąd na myśl, aby bez pozwolenia wyjść nią miały. We dwie minuty dzieci zapuściły się w gęstwinę, trzymając się pod rączki po swojemu; szły żwawo, w lesie było bardzo przyjemnie. Stefuś miał u pasa ołowiany kordelas, zupełnie taki sam, jak wuja, tylko że o połowę mniejszy i ołowiany a nie z doskonałej stali, jak tamten; i fuzyą miał również podobną do wujowej, ale co pas, torbę myśliwską, worek na kule i t. p. przybory, to już wszystko miał znowu ładniejsze niż u wuja, bo wujenka to wszystko świeżo na gwiazdkę mu wyhaftowała; a wujowi haftowała bardzo dawno, Bóg wie kiedy, więc już wujowe hafty wypęzły, jak to zwyczajnie takie piękne, ale nie trwałe robótki. Amelka zaś ubrana była w najprostszą w świecie beżową szarą sukienkę, najwłaściwszą dla dzieci, które chcą bawić się swobodnie do woli, a mimo to, zawsze porządnie wyglądać. Miała Amelka u pasa torbę podróżną, sama ją sobie wyhaftowała na wzór Stefusiowej pod kierunkiem cioci, a w torbie miała połowę tych przysmaków, które się w Stefusiową zmieścić nie mogły. W dodatku zawiesiła sobie u pasa duży, prosty przetak, wyobrażając sobie, i słusznie, że jeżeliby upolowała gdzie kuropatwę na piskletach lub jajach, to łatwiej będzie przykryć całe gniazdo takim porządnym przetakiem, niż własnym Amelki maleńkim jedwabnym fartuszekiem, bo fartuch Zośki, która gniazdo owo przyniosła, był przynajmniej ośm razy większy.

Tak w podróż wybrane dzieci szły przez las, upatrując zdobyczy, którą możnaby upolować i pokazać wszystkim w domu, jako „trofea myśliwskie” jak powiadał Stefuś, a Amelce te „trofea myśliwskie” tak się podobały, że aż sama ciągnęła teraz braciszka w las, żeby coperądzić coś upolować. Szli tak, rozmawiając o tro-

feach myśliwskich pocichu, aby zdobyczy nie płoszyć, wtem zaszeleściło coś okropnie w gęstwinie.

— Kuropatwa! — szepnęła Amelka, chwytając za przetak.

— Niedźwiedź! — krzyknął silnym głosem Stefuś, porywając za kordelas. Ale zanim jedno i drugie zdołało się zamierzyć, już straszliwe zwierzę, wypadłszy z gęstwiny, rzuciło się na nich oboje razem, ponieważ przytulili się do siebie mimowoli, i stratowawszy obalonych, popędziło dalej, niedaleko jednak, bo zatrzymawszy się pod drzewem pobliskim, zajęło się obgryzaniem młodych listków. Dzieci leżały przez chwilę nieruchome, jak nieżywe, aż Stefuś, troszeczkę uniósłszy głowę, zapytał drżącym głosem, pocichu:

— Mela!... czy ty żyjesz?...

— To ty żyjesz, Stef, a ja myślałam, że nas to straszne zwierzę rozdarło! — zawołała Amelcia, zrywając się na równe nogi uradowana.

— Cicho! — szepnął Stefuś — bo ono stoi tu blisko. Oboje przycupnęli tedy, drżąc i zatrzymując oddech, i nieśmiało spojrzeli na owego potwora:

— Czy mi się zdaje... czy to nie koza arendarza? — szepnęła Amelcia.

— A prawda, tak, to ta niesforna koza swawolnica, której nigdy arendarzowa nie może przy domu utrzymać! — odpowiedział Stefuś wielce zdziwiony. A ponieważ oboje bardzo tę kozę lubili, więc poszli do niej, pogłaskali ją, i uspokoiwszy się, ruszyli dalej w swoją drogę w las, pytając się tylko nawzajem:

— A co to tobie na nosku, Mela?

— A tobie co na czole, Stef?... Aha, już wiem, to myśmy się pewno tak podrapali o gałęzie, upadłszy, gdy ta koza na nas wyskoczyła! No, idźmy dalej; przecież arendarz ma tylko jedną kozę, to może drugi raz już nas ten sam wypadek nie spotka.

I poszli. Idą, idą, wtem jak coś huknie!... Jedna i taż sama myśl przeszła serca obojga dzieci:

— To wuj, wyszedłszy na polowanie, wziął nas za zajaca lub za kuropatwę i strzelił, i zabił!... — pomyśleli i przycupnąwszy między suchymi gałęziami, nie ruszali się wcale w przekonaniu, że już są zabici. Dopiero drugi taki sam huk ocucił ich z przerażenia, a to drwał rąbał sobie najspokojniej drzewo w pobliżu. Drwał był znajomy, dzieci nie chciały, aby im w polowaniu przeszkadzał, a zatem, uspokoiwszy się trochę, poszły cicho bokiem w dalszą drogę, dziwiąc się sobie wzajem, dla czego jakoś jedno coraz bardziej kuleje, a drugie lewą rączką z trudnością rusza. Obejrawszy rączkę i nóżkę, spostrzegli na nich spore sińce i zrozumieli, że pewno się potłukli upadając na kolana pod dębem w przekonaniu, że są zabici.

— Aha! to pewno wtedy takeśmy się potłukli, kiedy drwał w drzewo siekierą uderzył, a myśmy myśleli, że to wuj strzelił i żeśmy postrzeleni! — domyśliła się Amelka i rozplakała się z bólu. Ale co tu teraz robić, bo mię noga coraz bardziej boli i wcale iść nie mogę?

— Mniejsza o nogę — rzecze Stefuś, i zapłakał głosić jeszcze — to gorzej, że ja wcale kordelasa utrzymać w ręce bolącej nie mogę, więc cóż to będzie, jeżeli niedźwiedź wypadnie? Jakże tu iść dalej na polowanie?

— A więc wyście się na polowanie wybrali? — zapytał wuj, wychodząc niespodzianie z za krzaków, gdzie przypadkiem przechodził. — Jeżeli tak, to jesteście istotnie *postrzeleni*, chociaż do was nie strzelano.

Dzieci okropnie się przelękły, chociaż nie zupełnie słowa wuja rozumiały. On wziął płaczącą Amelkę na rękę, płaczącego Stefusia za zdrową rękę, zaprowadził do domu, do wujenki, gdzie po obejrzeniu i opatrzeniu ran i podrapań tak im powiedział:

— Jak widzicie, żyjecie jeszcze, moje dzieci; pomimo to, wiercie mi, że istotnie musicie być *postrzeleni*, czyli troszeczkę niezbyt... rozumni, kiedy mogliście się wybrać sami do lasu na polowanie; nie martwcie się jednakże niepowodzeniem, bo że upolowaliście sporo sińców, guzów i zadrapań, to nawet bardzo dobrze wam się udało, gdyż mogło was spotkać co gorszego, a mianowicie lada gajowy mógł istotnie wziąć was za kuropatwę lub zająca, bo nie wiele co więksi od nich zdaleka jesteście, i mógł was zastrzelić! To zaś, co was spotkało, uważajcie tylko jako lekką karę za nieposłuszeństwo, gdyż wiedzieliście wy dobrze, że same dzieci do lasu chodzić nie powinny, jakkolwiek nikt wam tego nie zakazywał, bo nikomu na myśl nie przyszło, abyście dzieciństwo takie popełnić mogli.

M. Krz.

OPOWIADANIE BIAŁEGO KUCYKA,

spisała MARYA Z GRABOWA.

(Dalszy ciąg).

— Miała słusność kasztanka; cała ta okolica nadzwyczaj miłe sprawiała wrażenie, obszerne płaszczyzny urodzajne, pokryte złocistymi kłosami pszenicy, ciemno zielone liście buraków, stanowiły wspaniały kobierzec; w pobliżu jedne przy drugich jaśniały wioski, porządnie zabudowane, białe ściany, czerwone dachy, otoczone dookoła ogrodami i drzewami. Wieś, w której ja miałem zamieszkać, leżała przy szosie, duży dwór staroświecki z gankiem pokrytym zielonem winem mieścił rodzinę dosyć liczną mojego nowego pana, przed domem był okrągły trawnik. W pierwszej chwili sądziłem, że podobnie jak w cyrku będzie to pole moich popisów, zacząłem obiegać w koło, musiano mnie uczyć chodzenia po prostej drodze; otóż na co się to zda cała nauka cyrkowa, w życiu praktycznem niema z niej żadnej korzyści.

Co to było radości na mój widok! Chłopczyk i siostry jego biegali koło mnie, głaskali, oglądali, wśród coraz nowych okrzyków podziwu; zeszła się cała służba domowa i folwarczna, aż mnie duma zdjęła, że sprawiam takie wrażenie. Co mi się jednak bardzo podobało, to stosunek państwa ze służbą; widać było, że ich traktują po ludzku, a porządne ubranie dziewcząt i parobczaków, ich rumiane i tłuste policzki, świadczyły, że dobrze im się dzieje.

Mój właściciel był to chłopczyk grzeczny, dosyć poważny na swój wiek, a jak się później dowiedziałem,

dobrze się uczył, to też w nagrodę ojciec mu kazał mieć moją osobę, ażeby mógł sobie używać spacerów. Po pierwszych próbach, zaczęto mnie używać pod siodło, potem zaprzężono do małej zielonej bryczuszki, zwykle w niedziele jeździliśmy tym ekwipażem do kościoła; pamiętam tę drogę: od dworu brzozowa aleja, potem most duży na rzece, dalej wioska z modrzewiowym dworem, gdzie mieszkali bardzo mili sąsiedzi, lipowa aleja i kościółek biały, schludny, otoczony murem.

Na swoje bryczuskę mój pan zabierał dziewczynkę, która tam na jakiś czas przybyła; dziwiło mnie to bardzo, że żadna z siostr jego, chociaż widoczną miały ochotę towarzyszyć bratu, nigdy nie objawiły swego zdania; siadały pośpiesznie do powozu z rodzicami, a same mawiały Brońci, aby jechała bryczuską. W drodze chłopczyk też nadzwyczaj był uważny dla dziewczynki; czasem pozwolił jej brać lejce do ręki, co z jego strony było dowodem wielkiej uprzejmości. Objasniła mi to do tego pocziwa kasztanka.

— Widzisz, Bobo, ta dziewczynka niedawno straciła dobrą, bardzo dobrą matkę, biedaczka jest siła; to też dzieci nasze, które mają czułych rodziców, nad jej losem i chcą serdecznem obejściem wynagrodzić choć w części tę wielką stratę.

I mnie także żal jej się zrobiło, stanęło mi w głowie moje smutne dzieciństwo i biedny James, on także nie miał matki. Starałem się też być uważnym i posłusznym w drodze, a tak dzielnie kłusowałem, że budziłem podziw tych, co nas widzieli po drodze; lechtało to na moją własną, jak na mój widok po wsiach wybiegali wieśniacy, dzieci, wołając:

— O patrzcie go, to ten maleńki kucyk, a leci, ja już duży koń.

Po wyjeździe Brońci, dziewczynki nareszcie zaczęły używać bryczuszki, nauczyły się nawet same doskonałe powozić, co prawda dzięki mojej powolności; już to kto ze mną dobrze się obchodzi, to i ja jestem jak bielek, ale za niesprawiedliwość mścić się potrafię, tak zrobiłem na nowej służbie. To jedno przykre jest w moim losie, że nigdy długo nie mogę pozostawać na miejscu; skoro mój pan wstąpił do gimnazjum, już też ubliżając jego powadze drugo klasisty jazda na maleńkim kucyku ojciec mu za promocyą i nagrodę, którą otrzymał na egzaminie, ofiarował dużego wierzchowca, a ja zostałem dali innemu chłopczykowi.

Z tego pobytu nie mam woale miłych wspomnień, aż mi się cyrk przypomniał, tak często rażał mój grzbiet; to galop, to wyciągnięty kłus, lekkich nie należał, zresztą, czy jadłem, czy nie, no, o to wcale się nie troszczyłem. Zaczęły się złosliwe figle. Raz w pełnym kłusie wyciągnęły tylnymi nogami, spuściwszy głowę, leciał z siodła, jak z procy; kichał narzekając, pełne usta miał piasku, a całe ubranie. Innym razem udałem chorego, i nie piechotą ze 3 wiorsty. Sam dziś przyznaję, że wcale ładnie z méj strony, ale dla ciebie obchodził, zwierzę nigdy nie jest tak ciche.

Na domiar przykrości dostrzeżę jeździć. Była to panienka przystojna

malina, ale jak na moje siły cokolwiek za ciężka, a co więcej, wyglądała tak śmiesznie, z pod jej sukni widać tylko było cztery moje kopytka. Ułożyłem też sobie w głowie, aby się tego pozbyć. Raz kiedy byli goście, kilku młodych panów, co pannie komplementa prawili, zachciało jej się popisać z konną jazdą; wszyscy wyszli na ganek, mnie wyprowadzono w damskim siodle, słysząc, jak panicze deklamują jakieś wiersze, było tam: „kobietko, puchu marny”, inny wspominał o anielskiej postaci, poczekaj, pomyślałem, ujrzysz ty zaraz ten lekki ch, tego anioła skrzydlatego. Skoro tylko panna dojechała się na siodło, przykląknę, jak wielbłąd, na wszystkie cztery nogi. Było dużo śmiechu, panna ze wstydu czerwiała, ale już więcej nigdy nie wsiadła na mnie.

(d. n).

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

A A
B I K L
N O R F
W Z

Przestawiając litery, ułożyć na krzyż cztery wyrazy: 1. Narzędzie. 2. Wskazówka. 3. Napój. 4. Bliski krewny.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 43-go.

Zagadki głoskowe:

Przed kim Osmana pległa potęga,
Kto świeżym laurem czoło swe ozdobił,
Ten po najwyższą godność śmieje sięga,
Wari berła, kto mieczem berła się dobył!
(Śpiew historyczny Niemcewicza o Sobieskim).

Skrzynka do listów.

P. B. Kamiens: w Petersburgu. Żądany numer wysłany, nie jak dwa egzemplarze „Obrzędów”, które wyprawiono legarni za zaliczką pocztową.

Łamigłowska miła nam bardzo sprawiła niespodziankę, bo nie zażądała od nas żadnej korespondentki. Nowy pseudonym ubawił nas, nie pamiętała, że pocziwe te stworzenia, niesłusznie kiedyś przecież Rzym zbawiły. Łamigłówkę wydobyliśmy się niezmieranie, że „Wieczory” dodały kochanym do urządzania zieleni.

Kochana warszawskiej za przesłanego rubelka dziękuje, że kaleczka, która paciorek za nią odmówić przy-

jęzereku donosimy, że wymienione powieści Sienkiewicza 15 rs. bez przesyłki pocztowej. Elementarz wy, gdyż starczyło przysłanych pieniędzy. Co do nich takie stopy, że niepodobna dojść naprędce, czy kolej, czy poszły do kosza. To się z czasem

Narcyz trafnie odgadł szaradę; na zapytanie odpowiedzieć niepodobna, bo trudno zapamiętać nazwiska i pseudonimy tak licznych korespondentów.

Niebieska wstążeczka z nad Noteci śliczną ma kaligrafią, szczerze życzymy, aby starała się ją zachować i w późniejszym wieku.

Nudziarka niestosownie sobie obrała pseudonym, liścik jej bardzo zajmujący. Nudziarka, to ta niedobra blednica, która dokucza kochanym naszym korespondentkom.

Sokół z nad Narwi tak uszczęśliwił naszą Gołąbkę pocztową, że musieliśmy jej przypominać powagę dorosłej panny, bo do sufitu skakała z tym ślicznym bukietem, który Sokół własnymi łapkami dla niej ułożył. Sama zresztą podziękuje w pierwszym swym liście.

Lobelia musi być dobrą siostrzyczką, skoro tak za bratem tęskni. Ale cóż robić, taki to już los chłopców, że muszą się wcześniej z rodziną rozstawać. Mamie ukłon serdeczny załączamy.

Adaś E. wybornie rozwiązuje łamigłówki i bardzo porządnie pisze. Ależ czemuż to w liściku nic niema, oprócz rozwiązań? Prosimy bardzo, aby Adaś nam doniósł, jaka powiastka najlepiej mu się podoba w „Wieczorach”.

Brzózka srebrna z Polesia ma już konkurs żądany. Adres w każdej chwili zmienić można, dopłaty za to nie pobieramy.

Ruta litewska na swój wiek porządnie pisze. Sprawozdanie z konkursu robót bardzo się rzeczywiście opóźniło, za co serdecznie wszystkich przepraszamy, ale nie było w tem naszej winy.

Pani Maryi Leonie za przesyłkę dziękujemy bardzo.

Kochana Rybko z Niemenka. Spodziewam się, że już Rybka pływać nie może, bo już woda zimna; a może Rybka smuci się i płacze z tego powodu? Kłaniaj się dzieciom, z którymi razem się uczysz i pozdrów odemnie kochaną Halkę z Litwy. Proszę odpisz swojej Rucie litewskiej.

Kochana Halko! Jestem bardzo rada, że byłaś u nas i poznałaś nasze rodzinne strony. Jak ci się podobały? Podziękuj za przysłane książki od Stefci i odemnie, z wielkim zajęciem je czytamy. Ucałuj Minę i Jadwisę. Czemu nie pisesz do mnie nigdy przez Wieczory? Proszę i Rybki o liścik. Zygmuś i Cezarek ściskają ciebie. Nie zapomnijcie o waszej Brzozie z Gaiuku.

Kochana Aciu! Zadziwił się zapewne moim listem, w którym ci żadnej wiadomości o sobie nie podaję i żądam, ażebyś głowę nad tem łamała, kto jest ta zagadkowa istota, co się podpisuje pseudonimem „Nudziarki”. Znamy się doskonale, wiem, że masz siostrzeńca Romcia i brata Marcelka. Dla łatwiejszego rozwiązania powiem ci tylko, żeś była moją koleżanką. Gdy odgadniesz kto jestem, to może powiesz, że nie warto było dla mnie łamać sobie głowy. Nie wprowadza mnie jednak to przypuszczenie w zły humor, i śmiem cię prosić o rychłą odpowiedź. Jaki sobie masz obrać pseudonym, poradź się Staszki Z. która była moją koleżanką. Twoja nieznajoma „Nudziarka”.

Kochana Wielkopolkanka z nad Odry! Dowiedziałam się, że chcesz się ze mną poznać chociaż listownie za pośrednictwem naszych kochanych „Wieczorów”. Otóż donoszę ci, że mam lat 11, imię mi Marynia. Mam także trzech braciszków i jedną siostrzyczkę. Mieszkam na wsi, w bardzo uroczej okolicy i pragnę zawiązać z kochaną Wielkopolkanką stałą korespondencję. Oczekuję twej odpowiedzi, kochająca cię Nibieska Wstążeczka z nad Noteci.

Kochana Zagadko! Nie mogę się domyśleć, kto jesteś, bo nie napisałaś mi swego imienia ani miejscowości gdzie mieszkasz. Donieś, a wówczas może odgadnę. Za łamigłówkę ślicznie ci dziękuję. Brzózka srebrna z Polesia. Detynie i Dumce zasyła tyśiączne pozdrowienia Brzózce srebrnej z Polesia.